



Nr. 36.

4-go Września

1913.

PRZEKUPKA PRZED SĄDEM.

Nie jest to żadną tajemnicą, że przekupki są wygadane, przecież żadna nie doprowadziła do takiej biegłości jak pani Szczekalska. Może nazwisko było temu winne, dość na tem, że istotnie pani Prudencyanna (takie imię dostała na chrzcie św.) mogła nie tylko się klócić, ale nawet czekać, jakoż powiadali o niej na ucho, że niejednego psa przeszcekała. Była to silna, tęgą, barczysta kobieta, a ręce miała potężne, niby niedźwiedz łapy, to też kiedy słowa nie skutkowały, brała się do miotły, albo walczyła na pięści, a zawsze zwycięstwo było po jej stronie. Trzech miała małżonków, a każdy z nich był jej pokornym sługą. Miała jeszcze ochotę do czwartego, ale nie było takiego śmiałka, któryby się na takie hazardowne przedsięwzięcie odważył.

Samo przez się rozumie, że pani Szczekalska miała częste zatargi z policyantami, gdyż nie lubiła się stosować do przepisów policyjnych. „Szanowni stróżowie” rzecze Prudencyanna, a wydarłszy jednemu pałasz, daleko odrzuciła, potem ujęła go ramionami. Ścisnęła go tak silnie, że mu tehu zabrakło, a oczy mu na wierzch wychodziły. I wykonawcy praw unikali tej damy, gdyż walka z nią była uporczywa i niepewna. Nie tak sobie postępował Bonifacy Szabelski, młody urzędnik policyjny. „Już ja tę babę nauczę rozumu”, mawiał, „że popamięta ruski miesiąc”. Dowiedziała się o tem przekupka. „Co sobie myśli ten durcun”, krzyknęła, „ten obleciświat, młokos, żółtodziób, żeby mnie szanowaną damę nazwać babą. Oj czekaj urwipolciu, obrzynaczu, już ci sprawię”. Z tego można poznać, że obiedwie strony były bardzo rozgorzczone, zatem wybuch musiał nastąpić.

W dzień targowy siedzi pani Szczekalska nad straganem z owocem, aż tu zbliża się Bonifacy i zwraca grzecznie przekupce uwagę, że rozsiadła się za daleko na chodniku, po którym ludzie nie mogą swobodnie przechodzić. Poruszyła się zółć i wątroba w pani Szczekalskiej, to też ognistym wzrokiem przeszła Szabelskiego, a potem sypnęły się gorące słowa, niby rozpalona lawa z wulkanu. „Co mnie tam ktoś będzie uczył rozumu”, wrzasnęła, „już ja wiem jak siedzieć, mores do mnie żółtodziobom, smarkaczom, kuflewiczom; oho! dać takiemu bratu kufel piwa, a inaczej by śpie-

wał, ale tak to przesładuje niewinną kobietę, szuka zaczepki ten niezdara, aby mnie zniszczyć, ale nie jego doczekanie tego powsinogi” — i w podobny sposób trajkotała Szczekalska, a nawet miotała takie obelgi, że ich tu powtórzyć nie można. Nie zapomniała i o babie. „A czy to pięknie, aby mnie tam ktoś, co ma mleko pod nosem, co stąpa niby bocian na łące, nazywał babą? Alboż ja to taka stara, czy co? O ty nieczciwiaro, ty szubrawcze, niegodziwcze, zmieszany tłomaczy się i prosi, aby się cofnęła z chodnika, a kiedy ją nareszcie chwycił za rękę, aby dalej się posunęła, wtedy Szczekalska rozjuszona machnęła ręką, a wnet rozległ się odgłos, jakby ktoś dwa razy z bicia trzasnął — były to dwa policzki. które odebrał Szabelski. „Ja ci pokażę, co to jest baba!” Przekupka rozwinęła taką biegłość na tem polu, że zdawało się, iż pierwszej rozległ się trzask uderzenia, a dopiero mignęła ręka. Widać, że się dopiero zaprawiła na trzech małżonkach nieboszczykach.

Wtedy spoliczkowany Szabelski dobył oręza, ale dalsze sobie chleba. Niby lwica rzuciła się szybko ku niemu Prudencyanna, a wydarłszy mu pałasz, daleko odrzuciła, potem ujęła go w silne ramiona. Ścisnęła go tak silnie, że mu tehu zabrakło, a oczy mu na wierzch wychodziły. Bronił się rozpaczliwie, ale trudna była walka z otyłą Szczekalską, to też po niedługiej chwili padł w rynsztok, tyle chyba mając pociechy, że i przekupka na ziemię runęła. Nie dość zwyciężyć, pomyślała sobie Prudencyanna, należy korzystać ze zwycięstwa i osłabić przeciwnika, dlatego zaczęła go walić nielitościwie. Wnet jednakże doskoczyli przytomni, ale nie było łatwo oderwać upojoną zwycięstwem Szczekalską od swej ofiary. Czterech silnych chłopów utrudziło się nie mało, zanim uspokoił przekupkę, pełną zapału wojennego. Złobcony Szabelski uciekał, niby zając, z pobojowiska, przysięgając straszną zemstę.

Oczywiście, że sprawą tą sąd się zajął. Na terminie stanęli Szabelski, Szczekalska i świadkowie. Przekupka była wprawdzie w obawie, ale mimo to postanowiła się bronić rezolutnie. Zanim przyszło do właściwej sprawy, sędzia zaczął załatwiać przedwstępne formalności.

— Pani nazywasz się Prudencyana Szczekalska, — zapytał się oskarżonej.

— A cieszy mnie to bardzo, że pan sędzia mnie sobie jeszcze przypomina. Pamiętam przed miesiącem, kiedy właśnie miała przesłuchanie jabłka, wtedy pan sędzia kazał posłać kosz pełen swej czcigodnej małżonki, którą znalazłam, kiedy jeszcze była panią, ale co prawda, już wtedy była bardzo ładną i rozumną... wo! ja zawsze mówiłam...

Sędzia: Ależ moja pani Szczekalska, to nie należy do rzeczy, proszę ściśle odpowiadać na moje pytania.

Szczekalska: Panie sędzio, dobrodziej, toć to należy właśnie do rzeczy, bo dowodzi, że pan sędzia mnie zna jako porządną, uczciwą kobietę, a potem nazwisko moje niezapelnę.

Sędzia: A więc się pani nazywaś?

Szczekalska: Z rodziców jestem Dłubalska, z pierwszego małżeństwa Tęgowilska, z drugiego Szczepalska, a że trzeci mąż zwał się Szczekalskim, temu do prawdy nie jestem winna. Boże świeć nad jego duszą, ale on nie lubił wylać za kołnier...

Sędzia: Bardzo proszę odpowiadać ściśle na zapytania, gdyż inaczej dziśby się sprawa nie skończyła. Pani liczysz 54 lata.

Szczekalska: Uchowaj Boże! tyle jeszcze nie mam. Zaraz to wyjaśnię. Z pierwszym mężem żyłam tylko pięć lat, potem dwa lata byłam wdową; z drugim mężem piętnaście lat, gdyż właśnie w trzecim roku urodziła się Kostusia, a z tym trzecim ośm lat, a miałam... boǳajnie, kiedy nie wiem, ile miałam lat przy pierwszym ślubie, ale ja sobie przypomnę.

Trzeba wiedzieć, że Szczekalska tak szybko mówiła, że sędzia nie mógł jej przerwać, chyba jak trochę tchu zaczerpnęła.

Sędzia: Ależ to nie należy do rzeczy, w aktach zapisane 54 lata.

Szczekalska: Papier cierpliwy.

Sędzia: Mniejsza o to. Dnia 14 sierpnia zebrała pani urzędnika policyjnego, Bonifacego Szabelskiego, a nawet pobiła go mocno. Posądziła go o przekupstwo, że za kufel piwa gotów nie spełniać obowiązków swych urzędowych i t. d., co pani na to masz do powiedzenia?

Szczekalska: Wiele mam do powiedzenia, bo ta cała historia jest taka, że nie ma co wiać w dwa wiory, a tu takie zaraz procesy, terminy i Bóg wie co. Choćby co do kufła piwa, a przecież nie myślałam a panu Bonifacy Szabelskiemu, którego zresztą bardzo szanuję.

Sędzia: Piękny mi to szacunek, aby powalić kogo w błoto.

Szczekalska: Stało się to niechcący, a zresztą kto się lubi, to się czubi.

Sędzia: O ile wiem, pani nie masz brata.

Szczekalska: O mój Jezu, jakież też to pan sędzia ma delikatny rozum. Co prawda nie mam, bo starszy odemnie Staś umarł małym chłopczykiem...

Sędzia: A więc owo wyrażenie odnosiło się do Szabelskiego.

Szczekalska: Ależ gdzie tam, wszakże wszyscy ludzie są naszymi braćmi, bo Pismo święte wyraźnie mówi, abyśmy się wszyscy jak bracia kochali.

Sędzia: Zapewne pani nie zaprzeczysz, żeś dwa razy w twarz uderzyła Szabelskiego.

Szczekalska: Panie sędzio, to potwarz na biedną kobietę. Co prawda machnęłam ręką, ale broń Boże, aby uderzyć pana Szabelskiego, którego bardzo szanuję, ależ nieszczęście chciało, że on miał twarz za blisko, przecież kiedy widział, że ręką mignęłam, powinien był prędko twarz usunąć, a on jeszcze bliżej

nadstawił, zatem nie miałam zamiaru uderzenia, tylko chciałam w powietrzu podług zwyczaju ręką przesunąć, nieszczęście chciało, że tam była twarz pana Szabelskiego. Otóż tak, panie sędzio — tu Szczekalska machnęła ręką blisko głowy sędziego, że nieomal w nos zawadziła — gdyby teraz pan sędzia był się naprzód posunął, byłoby się stało podobne nieszczęście, aleć pan sędzia ma delikatny rozum...

Sędzia: Moja pani, proszę bardzo usilnie wstrzymać się na sali sądowej od takich machań, boć tu nie rynek, potem proszę tak wiele nie gadać od rzeczy.

Szczekalska: Jaktó od rzeczy? Przecież to wszystko należy do rzeczy, a co do uderzenia, musiałam przecież pokazać i wyjaśnić, jak istotnie było.

Sędzia: Czyż i to nie ma żadnego znaczenia, że pani rzuciłaś Szabelskiego o ziemię?

Szczekalska: Ale czy też sama nie upadam, przyczem sobie zbiłam kolano, że mnie po dziś dzień okropnie boli. Zresztą skoro pan Szabelski do był pałasza, musiałam się bronić, właściwie zasłużyłam na pochwałę, bo wstrzymałam go od zabójstwa; gdyby mnie był przebił, byłby pan Szabelski stanął przed sądem, jako oskarżony o morderstwo. Widać, że tak źle nie było, kiedy pan Szabelski tu stoi przed sądem zdrowy i wesół.

Sędzia się ledwie mógł wstrzymać od śmiechu. Wezwał następnie Szabelskiego, aby opowiedział ten wypadek. Obecni sędzi, że tenże wszelkich sił dołoży, aby panią Szabelską przedstawić w jak najgorszym świetle, lecz jakież było zadziwienie, kiedy urzędnik starał się uniewinnić przekupkę, a siebie obwiniać. Przyznał, że postąpił sobie za obcesowo, że obraził panią Szczekalską, że kiedy podał raport o pobiciu do władzy, był rozdrażniony, że teraz po głębszym namyśle przyszedł do przekonania, iż krzywdę wyrządził szanownej pani Szczekalskiej i tak dalej. Skutkiem tego pani Prudencyanna została skazaną na bardzo lekką karę.

Zapytacie, co spowodowało Szabelskiego do takiej zmiany? Oto miłość w postaci nadobnej Kostusi, córki pani Szczekalskiej z drugiego małżeństwa. Pan Bonifacy widział kilka razy Kostusie, nie wiedząc, że była córką Szczekalskiej, a tak się zachwycił jej urodą, że pokochał ją z całego serca. Dzień przed terminem Kostusia, na którą Bonifacy Szabelski sprawił także pewne wrażenie, zbliżyła się do niego, prosząc, aby nie potępiał matki. Szabelski przyrzekł bronić, a był nawet gotów siebie oskarżyć, że on pobił szanowną panią Prudencyannę. Dobrze uczynił, gdyż w pół roku zawarł śluby małżeńskie z kochaną Kostusią, zatem nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, jednakże nie radzę wam w ten sposób ubiegać się o pozyskanie serca i ręki ukochanej istoty.



ROZWIĄZANIE.

Pytanie, czemu, Jaś, który
Nigdy ani grosza niema,
Ciagle jednak, jak na straży
W swej kieszeni rękę trzyma?

Postępuje bardzo słusznie,
I to się w nim nawet ceni;
On to robi wszak dlatego,
By choć rękę mieć w kieszeni.



WAŻNA PRZESZKODA.

Piwniczy krał pan swemu butelkę za butelką, aż pan się spostrzegł i pewnego razu, posławszy sługę po wino, po cichu zaszedł za nim do piwnicy i pilnie słucha. Sługa myśląc, że jest bezpieczny, mówi:

— Wstępuje do stanu małżeńskiego pocciwy młodzieniec i lokaj pański pan Jan Łykała z pocciwą panną butelką, Węgierską. Dla pilnego czasu ogłaszam publiczności razem pierwszą, drugą i trzecią zapowiedź. A ponieważ nikt się nie sprzeciwia związkowi naszemu, więc zaraz nastąpi ślub.

Z temi słowy odkordował butelkę, aby ją wypróżnić, lecz niemało się przeląkł, gdy za nim zaczął pan donośnym głosem następującą zapowiedź, pokazując bat:

— Wstępuje do ścisłego związku łajdak, lokaj Jan Łykała z pocciwą Batoszkową (batem). Dla ważnej przyczyny ogłaszam razem pierwszą, drugą i trzecią zapowiedź, a ponieważ się nikt nie sprzeciwia związkowi, więc zaraz też zacznie się ślub.

Z temi słowy uchwycił pan sługę za rękę i chciał go zaślubić z batem, lecz spuścił rękę, gdy przebiegły sługa zdobył się na następującą odpowiedź:

— Wielmożny Panie, zachodzi ważna przeszkoda i nie może ślub nastąpić, ponieważ oblubieniec odstępuje oblubienicy i nie chce z nią żyć!

Pan się nie utrzymał od śmiechu, słysząc tak ważny argument i tym razem uszło mu na sucho.

—*—

FRASZKA.

Turków los całkiem nie pieści
Na tragicznej życia scenie:
Mają ledwie pół-księżyc
I ten cierpi na zaćmienie.

—*—

DLA PAŃ.

— Jak zimą oszczędzić węgla?

— Nie palić w pokojach, a gdy mąż przyjdzie do domu, to złościć go tak długo, aż się rozgorączkuje. Po co mu zaś jeszcze ciepła sztucznego?

—*—

ZROZUMIAŁ.

Sędzia: Oskarżony, czy rozumiecie znaczenie przysięgi?

Mądralski: O tak! Jeżeli przysięgnę, to zostanę uwolniony. Jeżeli zaś odmówię przysięgi, to zasadzą mię do kozy.

—*—

GOSPODARNA.

Żona (do męża powracającego z Ameryki, gdzie przez lat dziesięć przebywał): I jak na złość powracasz w ten dzień, kiedy w domu pranie!

—*—

ZEMSTA ŻONY.

— Powiedz mi, Basiu, czy codziennie gotujesz sama?

— Nie, tylko wtenczas, kiedy mię mąż rozgniewa,

DO POLAKÓW.

Czy zła czy też dobra dola,
Smutkom zawsze wołaj: hola,
Miej na ustach śmiech!

Choćbyś załł łzami łożę,
Płacz ci nigdy nie pomoże,
Nie załata strzech!

Śmiech przeciwnie, w każdej chwili
Życie wzbudzi, czas umili,
Da energię, hart!

Dzisiaj w wielkim wrogów tłumie,
Polak, który śmiać się umie
Jeszcze nieco wart.

—*—

TO PRAWDA.

— W czym się różnią koń i osiel?

— Na koniu jeździ niejeden osiel, ale jeszcze nikt nie widział ani nie słyszał, żeby na osle koń jechał.

—*—

ZŁOŚLIWY.

— Pani masz piękny włos.

— Tak, odziedziczyłam po matce.

— Czy w testamencie?

—*—

ANIOŁ POKOJU NA BAŁKANIE.



Pokój zawarty, ale wcale tutaj nie wygląda na to, jakoby pokój miał być trwałym... Wszystko zniszczone... Jeden będzie się mścił na drugim za krzywdy...

OBRAZA CZCI.

Jacek Osęka obchodził zrękowiny z Jagną Wróblówną. Narzeczeni należeli do najzamożniejszych rodzin w Kosowie, więc zrękowiny odbywały się suto przy obecności prawie połowy wsi. Muzyka różnęła od ucha, a pały przystawały przy każdej zwrotce i przyspiewywały krakowiaki. Kiedy już po trzeci raz posłano po piwo i wino, weselość i gwar wzrosły tak wysoko, że po śpiewkach co chwilę powstawał szalony śmiech między mężczyznami, a dziewczęta zakrywały twarze chustkami.

Miedzy innymi stanął przed muzyką Maciek Gwizdała, a przystupnawszy sobie nogą i przyłożywszy pięść do ucha, zanucił:

Będzie miała Jagna
Chłopa nad chłopami,
Kiedy mu jest zimno,
To dzwoni zębami.

Maciek starał się pierwaj o Jagnę, ale go nie chciała — wylał więc złość na szczęśliwego współzawodnika w powyższym docinku — który zresztą przeszedł wśród śmiechu bez dalszych następstw. Przy drugim tańcu po dalszym kieliszku zanucił Gwizdała:

Jacek to kawalir,
Kawalir nie łąda,
Bo taki jest mądry,
Że jak śpi, nie gada.

Jacek był gdzieś w drugiej izbie z Jagną, kiedy go zawołali, że Maciek śpiewa o nim. Wróciła więc para do tanecznej izby, aby usłyszeć, jak Maciek, do brze już w czubku mający, zanucił:

Oj, śwarneho, Jagno,
Kawalira biezec,
Patrzcie no na Jacka,
Wydęty jak prezes!

Ledwo ostatnią zgłoskę z gardła Maciek wypuścił, już ci dostał pięścią od Jacka za kołnierz, i ledwo zdołał mu odkrzyknąć: zbój, złodzieju! — już ci przeciwników rozdzielili, a Maćka z domu przyjaciele wywiedli.

Jagna rozbeczala się na dobre i dopiero po długich opowiadaniach i pocieszaniach zdecydowała się udobruchać, skoro Jacek przyrzekł zapoznać do sądu Maćka, ale obrażona Jagna przyrzekła zarazem nie pójść do ślubu, jeżeli Maciek nie będzie w hareście siedział za „wydętego prezesa“.

W miesiąc potem odbyła się rozprawa karna. Maciek zaprzeczył od a do z wszystkim, poczem, gdy świadkowie zeznali pod przysięgą fakt, jak wyżej go opisano, zasądził sędzia Maćka na 5 dni aresztu za obrazę słowy „zbój, złodzieju“, a nawet za „wydętego prezesa“ — albowiem świadkowie zeznali, że w Kosowie nazwanie kogoś wydętym prezesem uważanem bywa za największą obrazę, która to obelga miała początek od jakiegoś chłopca, chorującego na puchlinę brzucha, a prezesem zwanego.

Jacek doznał więc najzupełniejszej satysfakcyi i chciał dać na ślub — ale dumna Jagna kazała mu czekać jeszcze, bo Maciek „apeluje“, a nie wiadomo, co sąd wyższy zrobi, a ona nie poszłaby za żadnego wydętego prezesa!

Znowu więc po 2 miesiącach stanęli przeciwnicy przed trybunałem apelacyjnym, obaj już w asystencyi adwokatów.

Zastępca Jacka, dr. Nachtkastel, wywodził obszernie doniosłość obelgi „wydęty prezes“.

Obrońca Maćka, dr. Nachtkopf, wywodził uczenie, że obżalowany nie powiedział o Jacku, że jest „jak wydęty prezes“, lecz, że jest „wydęty jak prezes“, że go więc nie potównywał do owego chłopca, dającego początek obeldze, lecz że jest wydęty, czyli dumny, jak prezes, n. p. jak prezes jakiego towarzystwa, co nie można nazwać obelgą. Po wymownej replice i duplice — sąd zasądził Maćka na 4 dni aresztu za „zbója i złodzieja“, a uwolnił go od „wydętego prezesa“. — Jagna, oczekująca wyroku na korytarzu, rozplakała się i odjechała coprędzej do domu — dopiero świadectwo lekarskie dostarczone przez Jacka, iż nie jest „wydętym“ ani w ogóle chorym, oraz 4 dni aresztu Maćka ulagodziły ją na tyle, że poszła do ślubu z Jackiem.



KOCHANY BAK.

M a t k a (do 6-letniego Tola): Ukradłeś ze szafy czekolady, teraz dostaniesz porcję kijów.

T o l o: Mamo, ja stawiam wniosek na zbadanie mego stanu umysłowego.



— W Niemczech strasznie zimne lato. Spodziewamy się, że przyszłe lato będzie tem gorętsze, gdy każdy sobie zacznie obliczać, ile go będzie kosztował jednorazowy podatek na zbrojenia.



TRUDNA RADA.



Głos z telefonu: Proszę, przystąp Pan bliżej do telefonu, bo nic nie rozumiem!

Ogórkiewicz: Mimo najlepszej chęci nie mogę, inaczej zatkam cały aparat!